

49

PORTRET ONLINE

Kobiety karmią się landrynkami dla dorosłych

Z Agnieszką Kacprzyk rozmawiają
Beata Glińska i Justyna Pawlak



W styczniu wydała Pani swoją drugą powieść – „Macyldę”, książkę niby niczym konkretnym nie nawiązującą do debiutanckiej „Kliniki lalek”, jednakże poruszającą się w tej samej płaszczyźnie tematycznej. Obie opowiadają o ludziach młodych. Między innymi o tym podobieństwie chciałybyśmy z Panią porozmawiać, zaczynając od pytania o Pani debiut powieściowy. Skąd pomysł na „Klinikę kukiel”. Skąd pomysł na przedstawienie szarpiących ludźmi namiętności w odrealnionej rzeczywistości pieszej wyprawy?

Rzeczywistość pieszej wyprawy jest jak najbardziej realna! Dwukrotnie zdarzyło mi się uczestniczyć w trudnej wyprawie trekkingowej – najpierw w Karpatach ukraińskich, potem w rumuńskich i zaobserwowałam zjawisko, które mną wstrząsnęło tak bardzo, że postanowiłam o tym napisać. Fabuła powieści jest co prawda fikcją, ale zależało mi na tym, aby uchwycić tę specyficzną atmosferę wzajemnych napięć, jaka wytwarza się w grupie ludzi skazanych na siebie i oddalonych od najbliższej cywilizacji o kilka dni marszu. Relacje międzyludzkie, które opierają się na weekendowym wypadzie na piwo albo wakacjach all inclusive w Tunezji czy Egipcie przybierają zupełnie inne odcienie w sytuacjach ekstremalnych, a za taką uważam m.in. ukraińską

wyprawę. Po pierwsze – marsz z plecakiem wypełnionym namiotem, śpiworem, ubraniami i prowiantem na 2 tygodnie jest potwornie męczący, co wyzwała w ludziach zaskakujące zachowania, po drugie – aby zrealizować cel wyprawy, potrzeba dużej dyscypliny, a mało kto jest na to przygotowany. Nie ma tu miejsca na manifestowanie swojego indywidualizmu, kaprysy, złe samopoczucie – trzeba się podporządkować zespołowi. W przeciwnym razie wyjazd okaże się niewypałem, trasa nie zostanie zrealizowana, a grupa zamiast się zintegrować, rozsypie się do tego stopnia, że część ludzi nie będzie chciała mieć więcej ze sobą nic wspólnego. Tak wydarzyło się podczas moich wakacji i podobnie dzieje się właśnie w „Klinice”.

W „Ghost in the shell” pada takie zdanie „Gdyby lalki mogły mówić wołałyby »nie chcę być człowiekiem«”. Czytając „Klinikę kukiel” można odnieść wrażenie, że podziela Pani tę opinię.

Właściwie wszyscy bohaterowie tej powieści są negatywni. Mogłaby Pani wytłumaczyć dlaczego? Czy rzeczywiście ma Pani tak złe zdanie o współczesnych?

Za każdym razem, kiedy słyszę opinię, że bohaterowie „Kliniki” są negatywni, mam ochotę zapytać: A Ty? Masz czysto konto? Żadnego świństwa na sumieniu? Jeśli tak, to chylę czoła. Jak już wspominałam, wyprawa w dzikie góry, gdzie brakuje szlaków turystycznych, schronisk i choćby najmniejszych przejawów cywilizacji jest sytuacją do tego stopnia niecodzienną, że uruchamia w ludziach zachowania, które zaskakują nawet ich samych. To niczym zsyłka na bezludną wyspę, z taką różnicą, że zamiast palić ogniska i pisać na piasku „HELP”, trzeba się zmobilizować i iść, bo to jedyna droga ocalenia.

Wracając do bohaterów. Kto jest negatywny? Idealistyczny Gruszka? Kaśka – ofiara zdrady? Poza Patrycją, którą powoduje czyste wyrachowanie, cała reszta zwyczajnie gdzieś się gubi, ulega pokusom i według mnie jest to zjawisko ludzkie i powszechne. Większość nawet nie potrzebuje ekstremalnych warunków, aby nagiąć moralność dla chwilowej przyjemności. Wystarczy poczytać blogi, reportaże

czy listy czytelników do kolorowych gazet. To dotyczy każdego z nas i wynika z ułomności naszej natury, nad którą jedni pracują więcej, a inni mniej.

„Klinika kukieł” przesycona jest seksualnością. Bohaterowie działają według popędów zamiast rozumu, czy emocji. To przestroga, czy może uważa Pani, że istnieje jedynie ta fizyczna forma miłości, tak daleka od propagowanej przez romantyków, a może tak jak Matylda, bohaterka Pani drugiej książki, myśli Pani, że miłość to „pewien biznes”, w którym należy maksymalizować zyski i unikać potencjalnych strat?

„Klinika” jest przesycona seksualnością, bo erotyka to szalenie istotny obszar życia – szczególnie dla ludzi w wieku moich bohaterów. Zdrada jest najczęstszą przyczyną rozpadu związków, seks to jeden z głównych tematów wysokonakładowych pism zarówno dla kobiet, jak i mężczyzn, strony erotyczne biją rekordy oglądalności, pornobiznes kwitnie. To chyba wystarczające dowody na to, że seks zajmuje w naszym życiu rolę szczególną. I czasem ma w sobie siłę, która potrafi sparaliżować zdrowy rozsądek. Szczególnie dotyczy to ludzi młodych – bo oni wciąż się kształtują. I czasem robią to metodą niemowlęcą – dopóki nie wsadzą palca do kontaktu, nie uwierzą, że prąd kopie.

Nie znaczy to jednak, że każdy, kto jest czuły na seksualne bodźce, równocześnie neguje duchową i emocjonalną stronę miłości. To są dwa różne obszary, które w idealnych warunkach się pokrywają, ale czasem, w wyniku rozmaitych sytuacji, mogą się rozjechać. W końcu monogamia stanowi balast naszej kultury i czasem ten sztucznie narzucony model miłości zaczyna nas uwierać.

Inaczej wygląda to w przypadku Matyldy, ponieważ Matylda to postać karykaturalna, a jej postrzeganie miłości jest kpina z tego, czym nas karmi media. Z jednej strony rynek zalewają cukierkowe komedie romantyczne, z drugiej zaś wykrzywiona idea emancypacji kobiet sprowadza się do tego, aby faceta uprzedmiotowić i sprowadzić do funkcji dobrej inwestycji na przyszłość. Dlatego Matylda jest takim zlepkim współczesnych trendów – co rusz przebiera się w inne kostiumy, zaprzecza sama sobie i nawet

przed sobą odgrywa nieustanny spektakl.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że „Klinika kukiel” jest mniej optymistyczną, przeznaczoną dla trochę starszych czytelników wersją kolejnych części „Jeżycjady” Małgorzaty Musierowicz. Czy rzeczywiście sugerowała się Pani powieściami autorki „Kłamczuchy”, czy może jest to kwestia niezamierzonego podobieństwa?

A gdzie niby to podobieństwo?

Fakt, że jestem wielką fanką powieści Małgorzaty Musierowicz i dzięki niej przeprowadziłam się do Poznania, nie ma nic wspólnego z moimi pisarskimi inspiracjami. Nie widzę żadnego podobieństwa pomiędzy „Kliniką” a Jeżycjadą.

W sumie szkoda. Mogłabym wówczas napisać kolejne tomy „Kliniki” i jak Pani Małgorzata cieszyć się miłością młodzieży przez następne trzydzieści lat.

W „Klinice kukiel” często wkłada Pani w usta bohaterów banały, które później każe Pani narratorowi wyśmiać i zdemaskować. Czy jest to pomysł na zaakcentowanie dystansu do bohaterów? Czy może ironiczne czy pobłażliwe do nich podejście?

W „Klinice” mamy dwie przeplatające się narracje – obiektywną i personalną. Pierwszy narrator zajmuje się opisami przyrody, sytuacji oraz budowaniem nastroju, natomiast introspekcje należą już do postaci i to ich punkt widzenia poznaje czytelnik. Jeśli chodzi o pierwszego narratora to zależało mi, aby pokazać dzielący ich dystans, ale na pewno nie chciałam uczynić go ironistą czy prześmiewcą. On daje bohaterom prawo do toczenia akademickich, nieraz banalnych, dyskusji, włącza się rzadko, lecz nie puszcza oka do czytelnika. Jest z nimi i po ich stronie.

Czytając wpisy na Pani blogu łatwo zauważyć, że pisząc „Matyldę” odwoływała się Pani do wydarzeń z własnego życia, opisując chociażby Wigilię spędzoną bez wody. Skąd wziął się pomysł zamieszczenia w powieści wątków autobiograficznych i czemu ma on służyć?

Pomysł na napisanie „Matyldy” narodził się jeszcze podczas pracy nad „Kliniką kukieł”. Byłam zmęczona babraniem się w emocjach moich postaci, przytłoczona ciężarem ich błędów i gęstą atmosferą tej powieści. Miałam potrzebę odskoczni. Pomyślałam wówczas, że perypetie mojej nietuzinkowej rodziny dostarczają mi świetnego komediowego materiału. Potem rozejrzałam się dookoła – przy odpowiednim dystansie wszystko wydało mi się zabawne: firma, w której pracowałam, otaczający mnie ludzie i wreszcie ja sama. Wtedy nabrałam ochoty, aby zrobić otoczeniu figiel – niektórych wkurzyć, innych obśmiać, a o najbliższych napisać ciepło, choć z humorem. Jednocześnie nie oszczędzając głównej bohaterki, której pożyczyłam sporo własnych cech.

Dlatego „Matylda” – mniej w warstwie fabularnej, więcej w kreacji postaci – jest powieścią z elementami autobiograficznymi.

„Matylda” to książka przepelniona humorem i ciepłą ironią. Uważa Pani, że codzienność należy przyjmować „z przymrużeniem oka”?

Każdemu, kto umie przyjmować codzienność z przymrużeniem oka, szczerze gratuluję i bardzo zazdroszczę. Traktowanie życia lekko wydaje mi się najzdrowszym i najmądrzejszym sposobem radzenia sobie z rzeczywistością.

Jak powiedziała Margaret Tacher: „Dziewięćdziesiąt procent naszych zmartwień dotyczy spraw, które nigdy się nie zdarzą”. Z kolei to, co się zdarza, z perspektywy czasu zwykle nie ma większego znaczenia. Ostatecznie i tak każdy z nas skończy w piachu – i wtedy ani głupi szef, ani nielojalna przyjaciółka, ani zdrada ukochanego nie będzie już istotna. Więc może lepiej śmiać się z tego za życia?

Myśli Pani, że młode, dwudziestokilkuletnie Polki są tak wyzwolone jak Matylda czy jej przyjaciółka Izka, że tak jak one czerpią z życia garściami, wiecznie mają ochotę na seks i bez skrpułów zdradzają swoich partnerów? Sądzi Pani, że czytelniczki będą się utożsamiały z tak bezpruderyjnymi bohaterkami?

Czy rzeczywiście Matylda i Izka są wyzwolone? Nie sędzę. Obie są ofiarami pseudofeministycznych pisemek, które dają kobietom jedynie złudzenie wolności, a w rzeczywistości bombardują je szeregiem nakazów i złotych rad.

To, że świat Matyldy i Izki kręci się wokół facetów nie wynika z ich bezpruderyjności. One dopiero przy facetach czują się kobietami. Obecność mężczyzny jest im niezbędna dla potwierdzenia własnej wartości. Bez męskiego ramienia wydają się sobie nieatrakcyjne i nieciekawe. Trzy równoległe romanse, które prowadzi przyjaciółka Matyldy, tylko pozornie świadczą o konsumpcyjnym podejściu do seksu. Pod tą erotyczną nonszalancją kryje się desperacki lęk przed samotnością. Lęk, który jest plagą młodych – wydawałoby się wyzwolonych – kobiet, które codziennie stają przed lustrem i zadają sobie to samo pytanie: „A co jeśli zostanę starą panną?”. W Polsce wciąż dla wielu wykształconych mądrych kobiet jest to sprawa: być albo nie być.

Na swoim blogu pisze Pani, że okładka „Matyldy” jest „doskonałym egzemplum arcykiczu”. Pani powieść skierowana jest głównie do młodych kobiet, poza tym ukazuje się w serii „Imiona miłości”. Nie wydaje się Pani, że „cukierkowa” szata graficzna jest w tym przypadku czymś zrozumiałym?

Szata graficzna publikacji ma dla mnie, również jako czytelnika, ogromne znaczenie.

Lubię kicz i uważam, że w odpowiednich proporcjach kicz jest ciekawym elementem estetycznym. Ale okładkę „Matyldy” czytam przede wszystkim jako chwyt marketingowy. Na pierwszy rzut oka sugeruje ona, że mamy do czynienia z romansem, a przecież „Matylda” nie jest romansem, lecz jego parodią. O ile motyw graficzny z pierwszej strony okładki jest ciekawy, ma pazur i budzi skojarzenia z ilustracją z filmu „Diabeł ubiera się u Prady”, o tyle czwarta strona z podkreślonymi fragmentami i niepotrzebnym chaosem razi topornością. Do tego całość oblano lakierem (prawie jak lukrem) i w ten sposób powstał edytorski cukierek. Nie mogę jednak mieć pretensji

do wydawcy, bo przemawia za nimi doświadczenie marketingowe, a nikt mi nie obiecywał, że wydanie „Matyldy” jest akcją charytatywną.

W „Matyldzie” opisuje Pani kobietą przyjaźń, która – nie ukrywajmy – od samego początku skazana jest na porażkę. Zapiski na Pani blogu świadczą jednak, że przywiązuje Pani do niej dużą wagę. Skąd ta rozbieżność?

Może stąd, że „Matylda” jest powieścią humorystyczną, w której stosuję parodię, groteskę i elementy tragifarsy. I dla dobra tejże powieści oraz zawartej w niej intrygi, przyjaźń, jak również miłość, musi okazać się niewypałem.

Poza tym nie sądzę, żeby akurat „Matylda” była dobrym źródłem informacji o moim światopoglądzie. To samo tyczy się blogu, bo mimo iż jest on dziennikiem, zawsze pozostanie również formą kreacji, która wcale nie musi mieć nic wspólnego z rzeczywistością. Chociaż niewykluczone, że ma.

„Matylda” nie jest typowym romanssem, w którym główna bohaterka jest krucha, delikatna, nieśmiała i wciąż czeka na księcia z bajki, który przyjedzie po nią na białym koniu. To książka pozbawiona harlequinowego zadęcia, pełna ironii. Dlaczego postanowiła Pani opisać problemy miłosne swojej bohaterki właśnie w ten sposób?

Dlatego, że tak jest ciekawiej, lżej i zdrowiej. Na co dzień fundujemy sobie dramaty, które w globalnym rozrachunku nie mają większego znaczenia. Niewielu z nas umie spojrzeć na siebie z dystansem, znajdować jasne czy wręcz komiczne strony trudnych sytuacji. Obiektywie rzecz biorąc, historia Matyldy to pasmo porażek i klęsk, a mimo tego jest nam do śmiechu, prawda? Czyli jednak można?

Typowe romanse uważam za nudne i przede wszystkim szkodliwe. Kobiety karmią się landrynkami dla dorosłych, a potem mają pretensje do świata, że trafił im się wybrakowany królewicz. I zostają z pytaniem: pod czyj adres złożyć reklamację? Do mnie przynajmniej nikt nie napisze zażalenia, że obiecywałam happy end, który nie nastąpił.

Zarówno „Klinikę kukiel” jak i „Matyldę” można zaliczyć do literatury popularnej. Co Pani sady o tego typu książkach, czy jest to gatunek, za pomocą którego najlepiej można przedstawić problemy ludzi młodych?

Nie uznaje podziału na literaturę popularną i... no właśnie: Niepopularną? Niszową? Artystyczną? Wysoką? Nie widzę związku pomiędzy odmianą literatury, a problematyką, którą się w niej porusza. Ten sam problem może być podjęty zarówno przez twórcę harlequinów, jak i przez noblistę. Znajdziemy bez liku przykładów literackich gniotów z jednej strony i arcydzieł z drugiej, które w gruncie rzeczy opowiadają podobne historie. Nie ważne jest co, lecz jak. Jeśli zaś chodzi o potrzebę klasyfikowania literatury, najbardziej przemawia do mnie podział na literaturę dobrą i złą. Reszta to niepotrzebny wymysł krytyków i zbyt duże uproszczenie.

Napisała Pani „Klinikę kukiel”, teraz jeszcze „Matyldę”, na Pani blogu można przeczytać, że myśli Pani nad napisaniem trzeciej. Czy mogłaby Pani coś o niej powiedzieć?

I tu zaskoczenie. Trzecia powieść będzie o...
kobietachJ

Agnieszka Kacprzyk - urodzona 30 czerwca 1980 roku w Olsztynie. Ukończyła drugie liceum ogólnokształcące im. Gałczyńskiego w Olsztynie. W latach 1992-1999 aktywnie działała w olsztyńskim hufcu ZHP „Rodło”. Po maturze wyjechała do Poznania, gdzie podjęła studia filologiczne na UAM. Podczas studiów współpracowała z organizacjami pozarządowymi oraz poznańskimi instytucjami kultury. Po obronie pracy magisterskiej pracowała w teatrze, następnie w wydawnictwie, studiu graficznym i galerii fotografii. W latach 2007-2008 związała się z Warszawą, gdzie zajmowała się organizacją imprez dla firm. Niedawno powróciła w rodzinne strony i zamieszkała w mansardzie nad jeziorem Długim. Debiutowała w 2007 roku powieścią „Klinika Kukiel”. W styczniu 2009 roku nakładem wydawnictwa Prószyński i s-ka ukazała się jej druga powieść pt. „Matylda”.

„W końcu miłość to też pewien biznes”

Patrząc po raz pierwszy na okładkę książki Agnieszki Kacprzyk pt. „Matylda” pomyślałam, że to kolejna tandetna historyjka o wielkiej, nieszczęśliwej miłości, której bohaterka jest nadwrażliwą dziewczyną, marzącą o księciu na białym koniu. Drogą dedukcji doszłam do wniosku, że obiektem jej westchnień jest – jak to zwykle bywa – kolega z pracy czy szkoły, ewentualnie brat najlepszej przyjaciółki. Zakochana dziewczyna, przekonana, iż ukochany ma ją „w głębokim poważaniu” pod koniec powieści dowiaduje się, że wybranek zawsze ją kochał, tylko nie wiedział jak wyrazić swoje uczucia. Ostatecznie bohaterowie w niedorzecznie romantycznej scenerii padają sobie w ramiona, by od tego momentu żyć długo i szczęśliwie, a po kilku latach spłodzić gromadkę pięknych jak oni sami dzieci.

W tym miejscu wszyscy zwolennicy (a raczej zwolenniczki) romansów zarzucą mi, że jestem uprzedzona i kieruję się stereotypami. Być może, ale nie da się ukryć, że co kilka miesięcy książki podobne do tych, które opisałam powyżej, pojawiają się na naszym rynku wydawniczym. Tym bardziej warto sięgnąć po „Matyldę”, która moim zdaniem wpisuje się w ten nurt tylko po to, by go – doskonale zresztą – sparodiować.

Agnieszka Kacprzyk pełnym ironii językiem opisuje perypetie dwudziestodwuletniej Matyldy, dziewczyny pewnej siebie, wyzwolonej, pragnącej zostać awangardową artystką, którą będzie otaczał tłum przystojnych wielbicieli. Bohaterka to osoba niezależna, mająca swoje zdanie, wręcz manifestująca własne poglądy i upodobania, nie tylko muzyczne czy literackie, ale również te dotyczące mody. Nie dziwi więc fakt, że Matylda zamiast psa czy kota posiada – jak to sama określa – „wysublimowanego [...] kulinarnie” szczura o znamienym imieniu Duchamp. Widać więc, że jest to postać, która zdecydowanie różni się od większości bohaterek tego

typu literatury. Matylda nie ma kompleksów, czerpie z życia garściami i śmiało można powiedzieć, że „z niejednego pieca chleb jadła”. Dla niej problemem nie jest to, w co się ubrać, ale to, jak zwabić w swoje sidła kolejnego mężczyznę. To ten typ kobiety, która nawet będąc w związku, wciąż szuka miłosnych przygód i uniesień. Jej zdaniem lepiej spotykać się ze śmiertelnie nudnym przedstawicielem społeczności yuppies, Fredem, i w tak zwanym międzyczasie szukać faceta, który mógłby go zastąpić, niż być singielką. Niestety, nawet gdy na horyzoncie pojawia się potencjalny kochanek, zdobycie go okazuje się problemem. Zwłaszcza, że nie jest to zwykły facet, ale nawiązując do języka bohaterki „wysokiej klasy ciacho”. Przeszkodą nie jest jednak jego uroda, ale fakt, że Konrad – bo tak mu na imię – jest szefem dziewczyny, który ma w zwyczaju sprawy służbowe oddzielać od prywatnych. W związku z tym nawet tak doświadczona w tej kwestii Matylda musi sporo się napocić, by zdobyć serce ukochanego. Zbieg okoliczności sprawia, że bohaterka opuszcza rodziców i wynajmuje pokój w małym domku na przedmieściach miasta. Szczęście w nieszczęściu, jego właścicielem okazuje się... Konrad. Zakochana po uszy i nieświadoma uknutej przez szefa i jego brata intrygi dziewczyna nie dostrzega, że jest bezwzględnie wykorzystywana. Co gorsza – oddała się nie tylko od Freda, ale też od najlepszej przyjaciółki, Izki. Przypadek sprawia, że w końcu poznaje prawdę.

Przedstawione w żartobliwy sposób perypetie miłosne bohaterki to nie jedyny atut tej książki. Agnieszka Kacprzyk bardzo rozbudowała wątek obyczajowy, z właściwym sobie sarkazmem opisując rodzinę Matyldy. Na kartach książki dostrzegamy więc nieudacznego ojca, który pomimo licznych niepowodzeń uważa się za wybitnego wynalazcę i biznesmena, wyluzowaną matkę oraz młodszego brata Kubę, miłośnika wszystkiego, co alternatywne. Zachowanie najbliższych bohaterki, język, którym się posługują, ich zwyczaje i przywary składają się na obraz otwartych, mających zdrowy stosunek do życia ludzi, dla których od pieniędzy czy innych dóbr materialnych ważniejsza jest możliwość bycia razem i wspierania się w trudnych chwilach. Autorka pokazuje więc, że rodzina, nawet tak zwariowana

jak ta opisana w książce, powinna być dla każdego najwyższą wartością. W „Matyldzie” zawarta jest zapomniana przez wielu z nas prawda, że to dzięki naszym bliskim jesteśmy w stanie przezwyciężyć wszelkie trudności, nawet te, które często wydają nam się niemożliwe do pokonania.

Trudno nie docenić fabuły utworu, jednak dla mnie największym atutem książki jest jej warstwa językowa. Muszę przyznać, że dawno nie czytałam tak zabawnej i pełnej ciepłej ironii powieści. Trudno nie roześmiać się napotykać na stwierdzenia typu: „Nie wal dupy z własnej grupy” czy „Znow się obwiesiłaś jak murzyńska królowa”. Praktycznie w każdym zdaniu, które wypowiada Matylda możemy dostrzec cień drwiny. Co prawda podobnego języka używa wielu młodych ludzi, ale dosadne, nierzadko wulgarne wypowiedzi, włożone w usta dziewczyny chcącej uchodzić za wielką artystkę, czynią ją śmieszną. W ten sposób Kacprzyk świetnie oddaje emocje bohaterki, jej bez troskie podejście do życia i dystans do siebie samej. Według mnie zawarta w „Matyldzie” ironia to nie tylko dowód językowego bogactwa autorki, ale również czynnik wyróżniający tę pozycję na tle innych romansów. Zazwyczaj tego typu literatura pisana jest językiem „uduchowionym”, pełnym niepotrzebnego patosu, a więc nudnym, zwłaszcza dla młodszego czytelnika.

Ale Kacprzyk to nie tylko mistrzyni w posługiwaniu się sarkazmem. To również niezwykle uważna obserwatorka. Każdą osobę, przedmiot czy miejsce opisuje bardzo dokładnie, dzięki czemu świetnie oddaje ich wygląd czy charakter. Czytelnik ma wrażenie, że sam uczestniczy w opisywanych zdarzeniach, że jest ich bezpośrednim świadkiem. Dzięki temu może w pewnym stopniu utożsamiać się z bohaterami, odnajdywać w nich pewne podobieństwo do siebie samego. Przedstawione postaci są więc osobami „z krwi i kości”, takimi, jakie możemy odnaleźć w codziennym życiu. Matylda, mimo, że jest bohaterką romansu, nie jest tandetnie romantyczna. Uważa, że miłość to biznes, w którym należy maksymalizować zyski, a ewentualne straty ograniczać do minimum. Nie czeka na księcia z bajki, ale bierze sprawy w swoje ręce, chce sama decydować o sobie, zamiast pozwolić, aby jej życiem kierował przypadek, czy inni ludzie. I nawet gdy jest

zakochana po uszy nie wyklucza, że może poznać kogoś ciekawszego, kto jeszcze bardziej zawróci jej w głowie.

Książki Agnieszki Kacprzyk na pewno nie można nazwać romansem w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. To powieść ciepła i mądra, odarta z harlequinowego „nadęcia”, przesadnych „ochów” i „achów”. Czytelnik ma wrażenie, że autorka cały czas puszcza do niego oko, że nie do końca poważnie traktuje swoją książkę, że – zwłaszcza w warstwie językowej – bliżej „Matyldzie” do komedii niż romansu. I bardzo dobrze, bo dzięki temu zabiegowi trafia ona do czytelnika w każdym wieku, a nie tylko starszych pań czy niedojrzałych emocjonalnie nastolatek, które zazwyczaj sięgają po tego typu literaturę. W książce Agnieszki Kacprzyk, oprócz świetnie napisanych scen komediowych, uważny czytelnik może dostrzec naprawdę dobre fragmenty powieści obyczajowej. A jeśli po przeczytaniu tej recenzji ktoś nadal będzie się zastanawiał, czy sięgnąć po „Matyldę”, to dodam tylko, że książka, którą wciąga tak bardzo, że czyta się ją w dwie godziny, nie może być powieścią słabą.

*Agnieszka Kacprzyk,
Matylda,
Wyd. Prószyński i S-ka,
Warszawa 2009.*

AGNIESZKA KACPRZYK

Chcę być tylko jego! Formowana jego dłońmi, naznaczona stemplami namiętych ugryzień. Niech zrobi ze mną, co chce, byle był mój!

imiona mitości

MATYLDA



Prószyński i S-ka

Odgrzewana potrawka z mikrofali

Człowiek-zabawka w rękach Boga to motyw literacki, który zapoczątkowali już autorzy Biblii- przykładem niech będzie Hiob jako przedmiot rozgrywki między szatanem i stwórcą, kontynuowali poeci barokowi- świat będący szachownicą, ludzie stanowiący pionki, a transcendentne Dobro i Zło graczy, powtarzają twórcy całkiem współcześni- chociażby Orwell w „Roku 1984”. Rozwinięciem tego motywu jest pokazanie człowieka w formie kukły. Lalki, której sznurki pociągają niejasne wyższe moce. Anioły ciągną w jedną, demony w drugą stronę, a od tego, które z nich zwycięży zależy całe życie człowieka. Właśnie z tego toposu próbowała skorzystać w „Klinice kukiel” Agnieszka Kacprzyk. Z tym, że siły sterujące jej bohaterami nie są w żadnej mierze metafizyczne. Żądzą nimi emocje i namiętności: strach, pożądanie, ból, gniew, niechęć, pycha. Odczucia sterują nimi jak tylko sobie chcą, a na pół ich świadomi bohaterowie nie tylko nie potrafią, ale nawet nie próbują walczyć. Są bezbronni, bezwolni i bezsilni. W ogóle są bez.

Fabula jest niezwykle prosta. Szóstka znajomych- członków sekcji turystycznej przy UAM wyrusza na wakacyjną wyprawę po ukraińskich Karpatach. Wyprawa staje się katalizatorem, sprawia że wszystkie schowane głęboko niesnaski wybuchają ze zdwojoną siłą w aktach wzajemnej destrukcji- kłótniach, awanturach, scenach zazdrości. Wystarcza sześć dni w oddalonym od cywilizacji świecie- w miejscu bez komórek, komputerów i samochodów, w miejscu, gdzie trzeba walczyć z własnymi słabościami i po prostu iść dalej- by zniszczyć miłość, wieloletnie przyjaźnie i sympatie. By zniszczyć wszystkie więzi łączące członków grupy.

Ewa (Ruda)

„Kochała kontrasty. Sama zaś sytuowała siebie gdzieś pomiędzy [...]. Ilekroć myślała o sobie, widziała bezkształtną masę o słabym charakterze

i z kłębowiskiem kompleksów. I do tego mysio ruda”. Ewa jest w sekcji nowa. Przyłączyła się do grupy za namową przyjaciółki-towarzyszki z czasów londyńskiej emigracji Kratki. Najprawdopodobniej jest tam tylko po to by wyrzucić zemstę na Błękitie, który wykorzystał pijaną dziewczynę (tak właśnie Kratkę) w klubie na oczach przypadkowych ludzi. Ewa jest ciepła, ani gorąca ani zimna, po prostu ciepła, zawsze gdzieś z boku. Obserwatorka. Tak naprawdę Ewa jest niesamowicie nudna. To postać w której nic się nie dzieje. Targają nią tylko dwie namiętności- rządza zemsty i pociąg do ciała Błękity, jakaś garstka skrupułów (naprawdę niewielka wynikająca raczej z egoistycznego dążenia do własnej wygody) i tyle. Nic więcej. Bardzo nieskomplikowana osobowość. Niby dodane do tego są jeszcze jakieś nie do końca wyjaśnione wątki miłosne z Londynu, jakieś kobiece gierki uczuciami internetowego mężczyzny, ale... Problem jest taki, że Ruda przez większość czasu jest płaska, dwustronna, żadnego trój wymiaru.

Robert (Błękit)

„Błękit zawsze chciał być samcem- twardzielem, atawistycznym przedstawicielem gatunku, nieujarzmionym kulturą i rosnącymi z dnia na dzień feministycznymi trendami”. Błękit jest w sekcji od jej zarania. Jest magistrem z otworzonym przewodem doktoranckim, który całą swoją energię poświęca górom i wspomnieniom roku spędzonego we Włoszech. A raczej wspomnieniom kobiety, którą tam spotkał- doskonałej Sophie. Od czasu Italii Robert ani razu się nie zakochał. Właściwie tylko raz był z kobietą, ale był pijany prawie tak samo mocno jak ona (to jego interpretacja historii z Kratką). Błękit cynicznie przed sobą i przed światem udaje, że płeć przeciwna służy mu wyłącznie do zaspokajania potrzeb seksualnych, a w istocie szuka kobiety idealnej, eterycznej, wyjątkowej. Nie przeszkadza mu to w uleganiu własnym żądzom, czy to dawno po pijanemu w klubie, czy to w czasie szukania pożywienia dla grupy, gdzieś na leśnej łące z Patrycją. Robert jest chodzącym stereotypem. Tak zwanym mężczyzną męskim- brutalem, który pod twardą skorupą kryje wrażliwe wnętrze człowieka przesyconego nierealnymi ideami. Domniemany

ideał kobiet na całym świecie. Osobowość, którą od zarania dziejów autorzy romansów obdarzali swoich bohaterów. Taki jest Heathcliff z „Wichrowych wzgórz” Bronte, hrabia Dracula z powieści Stokera i co drugi amant u Steel.

Gruszka

„Tak Gruszka był dziwadłem, ale miał coś z wesołego chochlika o wiecznie radosnym spojrzeniu. Zamęczał wszystkich spontanicznymi pomysłami [...]. Szczeniak, którego chce się przygarnąć, schować pod skrzydłami i szepnąć do ucha: Cieszę się, że cię znalazłem. [...] Wszystkie dziewczyny traktują go jak brata. Jest cudowny ale nie dla mnie”. Gruszka jest maskotką grupy – tak myślą i mówią o nim wszyscy jej członkowie. Jest niepoprawnym romantykiem, który cierpi po odejściu wyidealizowanej internetowej Ameli (jest ona, lub nie jest Ewą), potem od pierwszego wejrzenia zakochuje się w Rudej i jako jedyny mężczyzna z sekcji nie ulega Patrycji- uosobieniu rządu i seksualności. Chce być reżyserem więc z dnia na dzień z pełnym poświęceniem zakłada marionetkowy teatrzyk „Klinikę kukieł”. Jest pełen pomysłów, jest taki... Stereotypowy. Spełnia drugi popularny męski stereotyp. To mężczyzna ciapa, ciepłe kluchy. Kobiety go kochają ale nie namiętnie, zawsze zostaje z boku jako ten drugi- odrzucony. Nic ciekawego. Nawet jak cierpi to tak jakoś bohatersko, altruistycznie, mało emocjonalnie. Jeszcze pewnie przeprosiłby gdyby swoim cierpieniem sprawił komuś najmniejszą niedogodność. Gdyby na przykład łzami poplamiał czyjąś koszulę.

Krzysiek (Makaron) i Kasia

„Byli piękni. Niezdolni do zła. Niezdolni do zadawania krzywdy. Wypełnieni dobrem. Makarony- Krzychu i Kacha”. „Kaśka była pumą. Czarną, dziką afrykańską kocicą. [...] Kacha jest dziką pumą, ale okiełznaną. Udomowioną. Przynajmniej na jakiś czas”. „[...] zaintrygowana mrocznym sekretem idealnego Krzysztofa [...]”. Krzysiek i Kasia to jedna z tych par, co do których jest się pewnym, że ich związek zakończy się ślubem, domkiem w szanowanej dzielnicy i gromadką dzieciaków. Od zawsze są razem, jedzą razem, śpią razem, uczą się

razem. Są właściwie jedną istotą w dwóch ciałach i o dwóch nazwiskach. Do czasu, kiedy Makaron ulega dłoniom Patrycji i pozwala jej doprowadzić się do erekcji, w czasie gdy Kasia bezpiecznie śpi z głową opartą na jego ramieniu. Wtedy ich raj pęka i znika. Okazuje się, że nie była to pierwsza zdrada jakiej się dopuścił i raczej będzie ostatnia. Makarony to chyba najbardziej bezbarwne postaci powieści. Najpierw takie idealne prawie-małżeństwo, a potem cierpiący ex-prawie-mąż i wyemancypowana ex-prawie-żona. Nudna kalka z tysiąca amerykańskich seriali.

Patrycja

„Od dziecka marzyła, aby wcielić się akurat w ten schemat. Być kochanką. [...] Chciała budzić w mężczyznach pasję i pożądanie. Odrzucać jednych, aby polować na następnych”. Patrycja z grubej zakompleksionej dziewczynki przy pomocy drakońskich diet przerodziła się w kobietę wampiryczną. Wysysającą z mężczyzn wszystkie soki dziwkę, która miała w łóżku każdego faceta. Wierzy święcie i niezbitnie w seksualizm, we władzę seksapilu nad światem i postanawia to udowodnić to Ewie. Wyprawa przeradza się dla niej w grę o miłość każdego z jej męskich uczestników (o miłość fizyczną). I wygrywa. Gdzieś na polanie jeden jedyny raz jest z wygłodniałym Błękitem, w jaskini bierze sobie Krzysztofa. I tylko Gruszka nie ulega. Gruszka i jego ideał miłości romantycznej. Patrycja jest zła, a to czyni ją barwną i fascynującą. Zło zawsze pociąga i dlatego z tej nijakiej papki bezsmakowych bohaterów Pati wybija się swoją motylą kolorystyką. Jest modliszką, jest pajakiem, kobrą i żmiją, ale jest ciekawa.

„Kasia i Krzysztof tęsknili do siebie, Ewa tęskniła do Roberta, Robert tęsknił za Sofią, Gruszka tęsknił za Ewą, Pati, śpiąca pod gałęzią rozłożystego krzaku, tęskniła za komfortem domu”, a ja osoba wychowana na powieściach pełnych gorąco krwistych bohaterów, w barwnych światach, gdzie żyli ludzie dalecy od jakichkolwiek stereotypów, tęskniłam za którąkolwiek z książek z dzieciństwa. W „Klinice lalek” postaci niby są sterowane namiętnościami. Szkoda tylko, że nawet te namiętności są takie mdłe i rozmyte. Takie nijakie. Nie mówię, że powieść

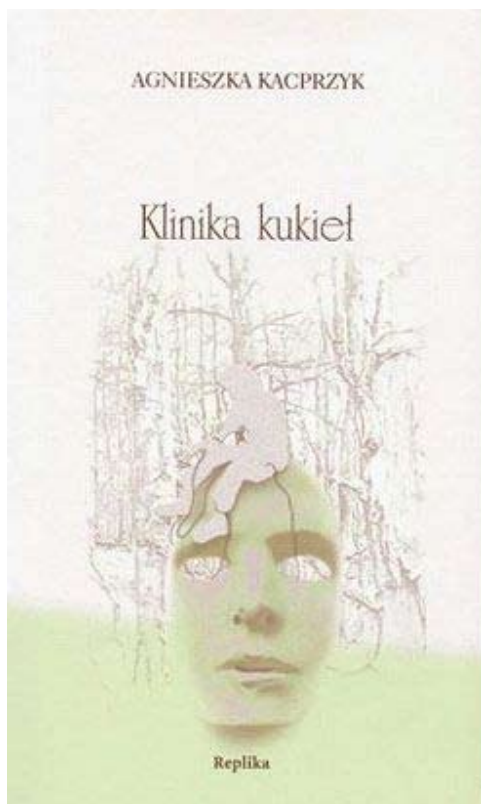
jest zupełnie zła. Nie, nie jest. Problem jest taki, że jest po prostu nijaka. Jak jej postaci, ani ciepła ani zimna, zwyczajnie chłodna. Odgrzewana w falach mikrofalówki, które wszystko pozbawiają smaku.

Agnieszka Kacprzyk,

Klinika kukiel,

Wyd. Replika,

Zakrzewo 2007.



Nowe szaty bajek

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami, żyła sobie kobieta, która miała w sobie energię do działania, pasję i wrażliwość na drugiego człowieka. Chciała zrobić coś dobrego dla innych. Przede wszystkim dla dzieci i kobiet. Założyła więc wydawnictwo AMEA, choć wcale nie tak dawno i nie tak daleko. Chce nim udowodnić, że nieprawdą jest, że życie to nie bajka. Bo wystarczy, że bajka nie skończy się happy endem i już jest podobna do życia. Poza tym, jak się okazuje, każdą bajkę można interpretować na kilka sposobów, czego dowodzą autorki „Dziewczyńskich bajek na dobranoc” wydanych przez tajemniczo brzmiącą AMEE.

Owa kobieta, która stoi za tym przedsięwzięciem to Beata Rudzińska. To ona założyła w 2006 roku oficynę wydawniczą AMEA i w ciągu dwóch lat udało jej się wydać sześć książek: cztery dla dzieci i dwie dla dorosłych, a właściwie dla kobiet. O wydawnictwie zrobiło się głośno jednak dopiero teraz, przy okazji wydania szóstej z kolei książki, którą jest antologia współczesnych bajek i baśni. Pomysł okazał się trafiony, a znane pisarki i panie piszące do tej pory do szuflady spisały się na medal. „Dziewczyńskie bajki...” są swego rodzaju kontynuacją poprzedniej antologii czyli „Babskiego gadania”, w którym autorki, w przeważającej mierze te same, z którymi mamy do czynienia przy najnowszej książce, przedstawiają różnorodne spektrum kobiecych światopoglądów. Skąd pomysł na spisanie klasycznych bajek na nowo? Jak czytamy w opowiadaniu Kamili Walaszkiej „[...] archetypy tworzyliśmy przez tysiąclecia. Wynikały one z naszych zbiorowych doświadczeń, ale rozwój cywilizacji, zmiany w kobiecej samoświadomości, wzrost ich wewnętrznej siły wydają się zmieniać obraz archetypów... Szczególnie tych związanych z rolą kobiety w życiu codziennym. Symbole ulegają przeobrażeniom”. I rzeczywiście baśnie, które znamy mogą wydawać się już nieco przebrzmiałe, choć niewątpliwie poruszają ponadczasowe problemy i

wartości. Jak tłumaczy Beata Rudzińska, symbolika baśni w jakimś stopniu wciąż daje podpowiedzi do rozwiązywania, czy też rozumienia, naszych egzystencjalnych problemów. Autorki, które na zaproszenie Beaty Rudzińskiej odpowiedziały z ogromnym entuzjazmem, pokazują jak dziś wyglądają księżniczki, czego pragną Kopciuszki i jakie zagrożenia czyhają na współczesne Czerwone Kapturki. W ich opowiadaniach przewijają się takie motywy jak zazdrość, samotność, pragnienie, jest też, oczywiście, miłość. Typowa bohaterka dziewczyńskich bajek nosi bawełniane majtki ze Snoopym, a marzy o butach od Manolo Blahnika. Jest singielką, mieszka w nowoczesnym apartamencie, realizuje się zawodowo, albo studiuje. Co nie znaczy, że jest szczęśliwa. Ma problemy takie jak: anoreksja, presja pięknego wyglądu, mobbing, niska samoocena czy chociażby dylematy związane z wejściem w dorosłość. Na pewno w co najmniej jednej bohaterce znajdziemy odbicie samej siebie. Wszystkim autorkom udało się stworzyć ciekawe postaci z krwi i kości, a przy tym zachować baśniowy klimat. Co ciekawe, kilka bajek opierało się na tym samym pierwowzorze, a mimo tego są to opowiadania bardzo różne od siebie. To dowód na to, że każdą bajkę można odczytywać po swojemu i dopisać do niej swoje własne zakończenie. Na uwagę zasługują np. oparte na „Dziewczynce z zapałkami” „Żar” Beaty Rudzińskiej i „Dziewczynka z Z.” Marii Bereźnickiej-Przyłęckiej. Pierwsza napisała opowiadanie o zdradzonej kobiecie, która z rozpacz podpała swój własny dom, z kolei druga stworzyła niezwykle sugestywny, przejmujący obraz dziewczynki, która szuka lepszego świata w galerii handlowej. Są też opowiadania bardziej optymistyczne, wśród których na szczególną uwagę zasługuje bajka Anny Dzewit „Dziewczyny nie płaczą”, reinterpretacja „Małej Syrenki”, której bohaterką wcale nie jest kobieta. Pogodną wymowę ma też „Bella i Baster”, czyli „Piękna i Bestia”, które opowiada o roli przypadków w naszym życiu.

Jeśli chodzi o opowiadania tych najbardziej znanych autorek antologii: Grażyna Plebanek trochę rozczarowuje, choć może lepszym słowem będzie zaskakuje, bo przedstawia opowieść daleką od jej dotychczasowych dokonań literackich, pełną

aluzji seksualnych interpretację „Królowej Śniegu”. Natomiast Agnieszka Drotkiewicz prezentuje przeciętny poziom, niczym nie zachwyca, ale też nie zniechęca. Przede wszystkim jednak, wydawnictwu udało się odkryć nowe talenty, które miejmy nadzieję, na jednej publikacji nie poprzestaną. Póki co AMEA wyda wkrótce powieść bardzo dobrze rokującej, chociażby po opowiadaniu „Karolina Biana”, Edyty Szalek. Sukces „Dziewczyńskich bajek...” to, oczywiście, zasługa wszystkich autorek, które wykazały się wrażliwością i humorem. Potrafią wzruszać i zarazem bawić np. aluzjami politycznymi. Słowem, każdy znajdzie coś dla siebie.

Mówiąc o „Dziewczyńskich bajkach...”, nie można zapomnieć o towarzyszących słowom obrazach. Trudno wyobrazić sobie książkowe wydanie baśni bez obrazków. Co ciekawe, pierwotnie nazwę „Dziewczyńskie bajki na dobranoc” nosiła wystawa fotografii Ewy Aksienionek. W tym samym czasie powstawały już opowiadania do antologii, ale brakowało dla niej tytułu. W dwóch głowach zrodził się niemal jednocześnie ten sam pomysł, więc zarówno Beata Rudzińska, jak i Ewa Aksienionek postanowiły współpracować. I tak każda bajka opatrzona jest związanym z nią zdjęciem. Można jednak zaryzykować stwierdzenie, że nie tyle są one uzupełnieniem bajek, co wręcz żyją własnym życiem i stanowią odrębną historię .

Do wydawcy można mieć tylko jedno zastrzeżenie. Otóż „Dziewczyńskich bajek na dobranoc” nie da się czytać dzieciom, a przecież to one od „dawien, dawien” były ich głównymi adresatami. Treści, które byłyby zrozumiałe dla dzieci nie ma tu wcale, bo i założenie było takie, że jest to publikacja dla dorosłych. Jednak o tyle, o ile dorośli niezmiennie będą rozumieć baśnie takie, jakimi znamy je w oryginale, o tyle dzieci obecnie mają innych bohaterów, bardziej przystających do dzisiejszych czasów. W dodatku telewizja serwuje im przede wszystkim kreskówki i seriale, które niczego nie uczą i nie wyjaśniają, zacierają granice między dobrem a złem, między tym co, właściwe dzieciom, a co zarezerwowane dla dorosłych. Myślę, że dobrym pomysłem byłoby opowiedzenie tych baśni ponownie, tym razem z myślą o najmłodszych, którzy chyba bardziej od nas tego potrzebują.

Ktoś zapyta, dlaczego o napisanie nowych wersji bajek poproszone zostały tylko kobiety. W końcu autorami niemalże wszystkich znanych nam baśni są mężczyźni: bracia Grimm, H.Ch. Andersen czy Charles Perrault. Ale to głównie dziewczynki z wypiekami na twarzy słuchają bajek czytanych bądź opowiadanych na dobranoc przez mamę i babcię. Właśnie! Równie dobrze możemy zapytać, dlaczego przez mamę i babcię, a nie przez tatę i dziadka. Oczywiście, ciekawe jak przetworzyliby baśniowe etosy panowie. Nie mamy swojego Erica Emmanuela Schmitta ani Paulo Coelho, którzy – jak się wydaje – idealnie wpasowaliby się w taki baśniowy klimat. Przychodzi mi na myśl tylko jeden polski pisarz, który mógłby temu zadaniu sprostać, ale może jego nazwisko póki co przemilczę, dając tym samym czytelnikom do myślenia.

Jeszcze jedno ważne pytanie: czy „Dziewczyńskie bajki na dobranoc” wbrew tytułowi zainteresują też mężczyzn? Jestem pewna, że tak. Po pierwsze, poruszane w bajkach wartości i problemy nie mają płci. Po drugie, dobrze napisane opowiadanie, a tylko takie znajdziemy w tym zbiorze, zainteresuje każdego wymagającego czytelnika. Sięgając po tę książkę, warto jednak pamiętać, że z lekturą na spokojny sen ma ona niewiele wspólnego.

*Dziewczyńskie bajki na dobranoc,
Wyd. Amea,
Liszki 2008.*



Żyję z kosmitą

Kim jesteś, nieznana osobo, z którą spędzam większość wolnego czasu? Kim jesteś, obcy człowieku, z którym dzielę noce? Kim jesteś, dziwna, momentami niezrozumiała istoto, z którą świadomie i dobrowolnie zgodziłam się przebywać w jednym mieszkaniu? Nie znam cię i nie rozumiem, choć nazywają nas jednym nazwiskiem i uważają za całość. Nie znam cię i nie wiem, o czym myślisz, czego pożądasz, czego się boisz, choć co dzień rozmawiamy i nieraz widzieliśmy się nago... Kim jesteś, u licha, ty potencjalny Kubo Rozpruwaczu? Dlaczego nie zdziwiła mnie myśl, która pewnego razu przyszła mi do głowy – że mógłbyś być tym tajemniczym dobrodziejem bezdomnych naszego miasta, człowiekiem który *incognito* traci fortunę na ogromne datki dla biednych i znika. Kim ty jesteś?!...

Gdy podobne pytania zaczęły nie do zniesienia rozsadzać głowę Dionizego Fiotronia, głównego bohatera „Ścianki działowej” Izabeli Sowy, poczuł, że dopiero teraz naprawdę MA PROBLEM. Dotychczas wydawało mu się, że wiedzie (z jednej strony) do znużenia uporządkowane i (z drugiej) godne zazdrości luksusowe życie: Rosenthal do śniadania, kaszmir do południa, *frappe* na lunch i taras wieczorkiem... Ach, do tego jeden szczegół: oczywiście chodzi o własnego Rosenthala, własny kaszmir, *frappe* z własnego ekspresu, na własnym tarasie... Gustowne minimalistyczne drobiazgi z typie „nowoczesny *design*”. Dionizy sam jest w tym typie, ale w końcu człowiek po to ciężko haruje w menageringu, więc ma... Nowoczesna i minimalistyczna w *designie* jest również jego żona Szarlota, ta, którą podziwiał (i poślubił) m.in. za to, iż zamawiała senczę w beżowym imbryku tylko wtedy, gdy miała dopasowany kolorem strój i lakier na paznokciach. Pewnego razu Dionizego coś zaniepokoiło: Szarlota nie tylko nie zauważyła jego wysmakowanego przyodziewku, ale stłukła ulubioną luksusową filiżankę, bez uprzedzenia i chyba... trochę irracjonalnie (no chyba, że to jakiś nowy trend) postawiła w ich wspólnym pokoju ściankę działową!

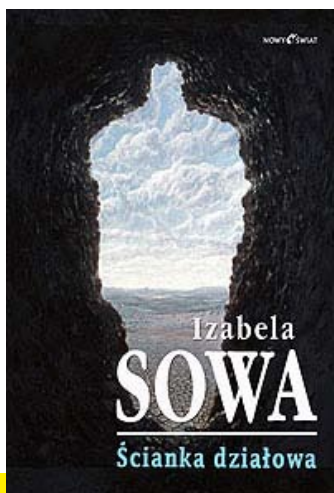
Niby nic się nie zmieniło: kobieta jest nadal słodko chłodna, drobna i powściągliwa, ale... inaczej patrzy! Z litością? Z troską? W końcu Dionizy przestaje się wahać: zasięga języka u wysoko postawionych znajomych i zaczyna przemierzać zakręty polskich dróg, stykając przy okazji z zaskakującymi przedstawicielami różnych warstw społecznych (przeżywając przy tym szok kulturowy – to na pewno nie JEGO warstwy społeczne!), aby dotrzeć do polecanego Kogoś w Rodzaju Prywatnego Detektywa, który „dobrze załatwia dziwne sprawy”. Owym detektywem okazuje się Brzytwa – ostra, bezkompromisowa, droga, niezawodna i z językiem za zębami, czyli właściwy człowiek na właściwym miejscu. Dionizy podejmuje najwyższe ryzyko wspólnego śledztwa oraz z godnością płaci cenę (jak ustalił z przedziwną i bardzo nie *design* panią detektyw – dochodzenie kosztuje tydzień jego życia), ale i tak nie żałuje: naprawdę kocha Szarlotę i naprawdę ceni jakość życia z nią. Życia wyczyszczonego na wysoki połysk, przejrzystego jak markowe szkło i wytrawnego jaka biała herbata. Błada, butna, bezczelna, brzydka i bardzo skuteczna Brzytwa prześwietla na wylot laserem swojego logicznego myślenia życie Dionizego i uświadamia mu, że jest trendy-puste. Potem dzięki wyjątkowo bezlitosnej psychoanalizie poddaje wiwisekcji jego związek z Szarlotą i wtedy mężczyzna już sam dokonuje zaskakującego dla niego odkrycia: że tak naprawdę kocha w Szarlocie tylko doskonałość formy w stosunku do jego wizji poziomu życia młodego *yuppie*. Że nie wie, z kim żyje.

„Ścianka działowa” może aspirować do rangi przypowieści filozoficznej – i niech potencjalnego czytelnika nie zrazi ten termin rodem z Oświecenia, gdyż jest to komplement! Trzeba wszak pamiętać, iż Izabela Sowa zaistniała na polskim rynku wydawniczym jako twórczyni popularnej „serii owocowej”, czyli powieści milutkich, ale niekoniecznie bardzo skomplikowanych (i dobrze – wszak nie o to chodziło). „Ścianka działowa” odbiega od owych poprzednich tekstów Sowy – co prawda jest lekka w tonacji, ma wdzięk i prezentuje nieco absurdalne poczucie humoru, ale jednocześnie zgrabnie bombarduje czytelnika subtelnymi wtrąceniami na temat ważkich, bieżących polskich

kwestii społecznych – tolerancji i jej braku, ubóstwa, wolności, skostnienia poglądów, komercjalizacji życia, modzie na blagę, markę i brak głębi duchowej. Sowa dzięki tej książce po raz kolejny udowodniła wybitny (i nie jest to czcze pochlebstwo) talent do konstruowania żywych dialogów i umiejętność rejestracji żywego, współczesnego języka. Pisarka w tej pozornie błażej historyjce – miejscami autentycznie śmiesznej, a przecież jednocześnie tak nieodparcie smutnej – wyrysowała do tego (i to właściwie tylko dzięki owym genialnym dialogom) kilka świetnie skonstruowanych postaci: oczywiście przede wszystkim te pierwszoplanowe, czyli dwie główne kobiece, Brzytwę, oraz tę niby-nieobecną Szarlotę, i coraz bardziej z kartki na kartkę zdezorientowanego, a na końcu przerażonego, Dionizego.

Tajemnica Szarloty jest straszna – o wiele gorsza niż podejrzewana przez Dionizego zdrada – a zakończenie... Czy zaniepokojony mąż takiej prawdy pragnął? „Nikt nie żąda więcej niż prawda, ale gdy tylko dostanie na spodeczku jej najmniejszy kąsek – mdleje albo się obraża...”. Czy naprawdę chcę wiedzieć, kim jesteś, tajemnicza istoto, z którą od dłuższego czasu mieszkam? Czy NAPRAWDĘ chcę cię znać, ty, mniej dla mnie znany od przybyszów z kosmosu, o których przeczytałam tony pseudo-literatury? Czy zniosę twój widok bez maski, jakże pięknej i zgodnej z moim gustem, tej, którą ci sama włożyłam? Właściwie ta ścianka działowa wcale mi nie przeszkadza...

*Izabela Sowa,
Ścianka działowa,
Wyd. Nowy Świat,
Warszawa 2008.*



Urszula Pawlicka

Tajemnice zamknięte w muszli

Wysłuchaj się w muszlę. Wysłuchaj się w jednostajny szum morza, w łagodny świst wiatru, w harmonijny trzepot mew. Wysłuchaj się głębiej. Przedrzyj się przez morski świat i zajrzyj do wnętrza muszli. Usłysz dziecięcy śmiech, lekki tupot nóżek biegnących po schodach. Poczuj woń oliwkowej skóry, zapach jabłecznika ulatujący z kuchni. Wydobądź na zewnątrz przeszłość, zamkniętą szczelnie we wnętrzu tajemnic muszli...

Ulrika, po dwudziestu czterech latach, powraca do Tangevik, aby przenieść się w świat dzieciństwa. Dokładnie do nastoletniego wieku, kiedy to każde wakacje spędzała na plaży w Tangevik. Przyjazd do sentymentalnego miejsca, napawa ją tęsknotą i jednocześnie rozbudza dawne uczucie niepokoju. Każde zetknięcie się z przedmiotem namaszczonym przez dzieciństwo, otwiera lawinę wspomnień. Retrospekcja do czasów minionych pozbawiona jest obiektywizmu. Bohaterka malując obraz tamtych lat, dokładnie dobiera intensywność kolorów w zależności od znaczenia wydarzeń. Poznanie rodziny Gattmanów, znanej i powszechnie szanowanej, jest dla niej spełnieniem najskrytszych marzeń. Ulrika przekracza próg domu Gattmanów, aby już na zawsze stać się ich nierzeczywistą częścią. Obdarza miłością swoją rówieśniczkę, Annę-Marię, którą traktuje jak niedościgniony autorytet i osobę idealną. Marie Hermanson szkicuje obraz dziewczynki, która czuje się brutalnie porywana wraz z końcem wakacji. Powrót do domu jest utrapieniem i męką. Ulrike to nastolatka, która próbuje urealnić sen o nowej rodzinie. Wyobraża sobie, że jest bliźniaczą siostrą Anne-Marie. Siostrą gorszą i brzydszą, która w porównaniu do niej nie promienieje słońcem i nie lśni miodowo-jabłkowym blaskiem. Ciągłe poczucie niższości i niedowartościowania, powoduje hiperbolizację cech rówieśniczki. Zbliżające się wakacje napawały Ulrikę przeogromną radością i jednocześnie miażdżącym strachem, przed tym jak

bardzo zmieniała się Anne-Marie. Obawiała się o przyjaźń, której w rzeczywistości wagę nadawała „siostra”. To od niej zależało, jak bardzo będą blisko siebie. Zazyłość była zatem podporządkowana Anne-Marie, a ta z kolei, rządzona była przez nastrój, chimery, zmienną modę czy nastoletni pęd do bycia „naj”. Wywyższanie się jej, przytłaczało Ulrikę, która czuła się odepchnięta, samotna, pozbawiona miłości i co istotne – własnego miejsca, przytulnego gniazda. W każdej chwili spędzonej z Anne-Marie poszukiwała nici, która trwale spoiłaby je obie. Nici, która dałaby jej poczucie bezpieczeństwa i spokoju: „Podniosła włosy z lewej strony ponad moją głowę i przyłożyła swój policzek do mojego, tak że jej długie włosy wystarczyły dla nas obu. Stałyśmy tak z przyciśniętymi do siebie twarzami, okalane tym samym blond pasmem. Czułam jej kości policzkowe, jej skórę, jej oddech. Zapach jej włosów, opadających jak franka przy moim lewym oku. Zakręciło mi się w głowie. Moja twarz zatarła się w lustrze, stopiła z twarzą Anne-Marie. Stałam się jej częścią. a ona zaczęła się śmiać na całe gardło i znów stałam się sobą”. Wspomnienia są zabawne i przerażające. Opisy delikatne, wrażliwe i szorstkie, agresywne. Wakacyjny czas to lata sielanki, beztroski i jednocześnie ciągłych starań o bycie zaakceptowaną, którym towarzyszył lęk przed odrzuceniem.

Bohaterka przywołuje kadrowane obrazy z dzieciństwa, jakby zatrzymywała wyświetlany film. W zwolnionym tempie ogląda na nowo każdą sekundę z tamtego okresu, cementując trwale wspomnienia. Wyciska ze wspomnień esencję, aby „zaparzyć” nowy napój lat dziecinnych, aby poprzez rekonstrukcję uporządkować swoją przeszłość. Po latach w domu Gattmanów spotyka Jensa, brata Anne-Marie, dzięki któremu idealność rodziny zostaje obnażona z grzechów. Rodzice Anne-Marie rozwiedli się, ona sama zaś zmieniała się z pięknej nastolatki w pulchną, samotną kobietę z trójką dzieci. Spotkanie z Jensem pozwala również załatać lukę z tamtych lat, jaką była historia zaginięcia adoptowanej córki Gattmanów. Wydarzenie to zdeterminowało bieg życia wszystkich członków rodziny. Podczas gdy przyczyniło się to do rozpadu rodziny Gattmanów, dla Ulriki stanowiło zespolenie z Anną-Marią.

Tragiczne doświadczenie, które współodczuwała, pozwoliło jej stanie się członkiem rodziny.

Scementowała ich zatem niewyobrażalna rozpacz. Zbudowane więzi, których fasadą był dramat, szybko zostały zburzone, gdy Maia odnalazła się. Urealnione sny o nowej rodziny prysnęły. Przyjaźń zakończyła się i nigdy nie odżyła. Pozostał tylko smutek i pytanie, na które wtedy nikt nie znał odpowiedzi, pytanie niemal jak tabu: co działo się z dziewczynką w czasie zaginięcia?

Odpowiedzią jest druga historia, która raz po raz przerywa opowiadanie właściwe. Symultaniczne wydarzenie przedstawia życie kobiety chorej psychicznie, która balansuje na krawędzi dwóch światów: świata racjonalnego i zmysłowego. Jej znakiem jest milczenie i alienacja. Kristina po wyjściu ze szpitala, zamieszkuje na wyspie. Odnajduje swoje miejsce w życiu – z dala od ludzi, cywilizacji. Życie Kristiny to symbioza człowieka z naturą. Czytając opowiadanie nie wiadomo, czy to przyroda jest personifikowana, czy człowieka depersonifikowany. Natura wzbogaca świat ludzki czy może odwrotnie, to człowiek jest niewielkim dodatkiem do dziewiczej przyrody. Kristina cechuje się niezwykłą wrażliwością i sensualnością. Autorka dzięki delikatnym opisom i łagodnemu językowi tworzy wzruszający obraz kobiety samotnej, ale jednocześnie niezmiernie szczęśliwej. To zadziwiająca historia człowieka o cechach obdarzonych przez naturę. Kristina wiezie spokojnie życie pustelniczki, które nagle zostaje zakłócone i nigdy już nie będzie takie jak dawniej...

Świat racjonalny reprezentowany przez Ulrike i świat zmysłowy – przez Kristinę, łączy jedna postać, jaką jest Maria. Dryfująca między światem gadatliwym, a milczącym, tworzy własny język: język obrazkowy. Marie Hermanson, charakteryzując postać dziewczynki, sięga po mit. Pozwala on jej na wyrażenie tego, co w słowach jest niewyrażalne. Dzięki niemu jest w stanie przybliżyć historię jednostek wyalienowanych. Mit pozwala przedstawić problem człowieka samotnego, zagubionego, dla którego nie ma miejsca w świecie racjonalnym. Jest dobrym zabiegiem prozatorskim na opisanie tego, co dzieje się w zakamarkach umysłu ludzi chorych psychicznie. Język faktu jest zbyt dosłowny, poważny

i nazbyt ciężki. Jest nieadekwatny do opisu świata, który graniczy z fantazją. Ludzki umysł bowiem to nie tylko racjonalność, to również ośrodek, w którym kiełkuje wyobraźnia. Wyobraźnia, która często jest ochroną przed brutalną realnością, jest ucieczką przed ową rzeczywistością i ukojeniem ludzkich cierpień. Mit pozwala na uwolnienie języka natury. Pozwala również odkryć pragnienia i uczucia, które duszą się w naszych umysłach lub które próbowaliśmy odrzucić, nie wiedząc, że zdeterminowały nasze życie.

W „Plaży Muszli” autorka tworzy mit zamiany dziecka przez matkę-troll. Matka-troll porywa ludzkie dziecko, a w zamian podkłada własne. Każdy ból, jaki zadajemy dziecku-trollowi, jest odczuwalny przez nasze prawdziwe dziecko. Autorka w sposób niesamowicie subtelny potrafi poruszyć problem aborcji, której rehabilitację stanowi adopcja. Przedstawia również problem relacji rodziców, którzy nie są w stanie wybaczyć sobie nawzajem dawnej decyzji o usunięciu dziecka. Tamto wydarzenie niczym mur oddziela ich bezpowrotnie. To również problem wspomnianej rehabilitacji, z którą łączy się pragnienie bycia doskonałym rodzicem. Wiąże się z tym ciągle towarzyszące poczucie strachu przed byciem złą matką czy ojcem. Hermanson naświetla także kwestię podporządkowania dorosłości wydarzeniom z przeszłości. „Dorośle życie polega na przekształcaniu zdarzeń z dzieciństwa i młodości” – mówi główna bohaterka Ulrike, która na własnej skórze doświadczyła owej zależności.

Obok mitu, pojawia się również motyw przyplłynięcia lub wypłynięcia kajakiem. Motyw ten interpretować można jako próbę ucieczki od realności, od ludzi, ale również od samego siebie. Przyplłynięcie kajakiem otwiera w powieści nowy etap życia danego bohatera. Jest znakiem przełomu, który zapoczątkowuje dramat. „Plaża Muszli” rozpoczyna się przyplłynięciem Kristiny na wyspę – oznacza zatem początek, ale i koniec życia kobiety. Wypłynięcie kajakiem otwiera tragedię rodziny Gattmanów, która już nigdy więcej nie będzie stanowić jedności. Spędzanie przez Ulrike wakacji na wyspie, wpłynie znacząco na resztę jej życia. Płynięcie kajakiem jest podróżą, będącą ucieczką przed problemami. Każdy bohater

powieści ucieka przed tym, co zadaje mu ból i również przed potencjalnym cierpieniem. Syn Gattmana, Jens, rozpoczyna pracę w reklamie, aby w przyszłości nie stać się podobnym do ojca. Głowa rodziny Gattmanów, Ake, po zaginięciu Mai, wpada w alkoholizm. Katrin, po rodzinnych przeżyciach, wstępuje do klasztoru, aby odzyskać spokój i harmonię. Ulrike jako nastolatka ucieka do Gattmanów, w poszukiwaniu szczęścia, autorytetu i wymyślanego ideału. W końcu Kristina, która przybywa na wyspę, aby odciąć się od ludzkiego świata.

Dryfowanie po morzu w samotności, jest podróżą w głąb muszli, w której zamykamy się przed otaczającym nas światem. W muszli kielkują tajemnice, które usłyszeć można tylko wsłuchując się w odgłosy z jej wnętrza. Wsłuchaj się zatem w muszlę. Usłysz głosy samotnych osób podróżujących po otwartym morzu. Nie bój się zanurzyć w wodzie, aby odkryć na dnie tajemnice z przeszłości.

*Marie Hermanson,
Plaža Muszli,
przeł. Bratumiła Pawłowska,
Wyd. słowo/obraz terytoria,
Gdańsk 2008.*



Dominika Kotuła

Dziedziczka z Nautilus Island

„Jak bezbrzeżny smutek bez przyczyny wypchnąć / za burzę swej zmęczonej łodzi”, radzi przewrotnie Marta Podgórnik. Jednocześnie zastanawia się, „od czego tym razem trudniej będzie się powstrzymać – od łez czy od śmiechu”.

„Pięć opakowań”, reedycja wydanych dotychczas tomików poetki w formie jednej książki, stwarza możliwość prześledzenia ewolucji stylistycznych i przemian zachodzących w podmiocie lirycznym jej wierszy. Podgórnik uprawia formalną wołtyżerkę, czyniąc to lekko i z wdziękiem. W każdym kolejnym tomie żonglerka konwencjami nabiera coraz szybszego, morderczego momentami tempa. Mroczna atmosfera wierszy gęstnieje i czasami staje się dusząca, zaś śmiech przez nie przebijający jest gorzki – nie oczyszcza.

Debiutancka książka, „Próby negocjacji”, odbiega tonem od późniejszych dokonań poetki, stanowiąc jednak ich zapowiedź. Jest autentyczna, to w pełni wiarygodny zapis dramatycznych zmagania z nieznanym, zbiór przeczuć niejasnych i niedobrych. Siedemnastoletnia Podgórnik świetnie radzi sobie z formą. Świat ocenia źle, a własne kłopoty urastają w jej oczach do problemów uniwersalnych. Gnębi ją „asymetria dążeń i spełnień”, dręczą wyniki „monitorowania wnętrza” (ich wynikiem jest bowiem „kataklizm pustki”). Ma jeszcze prawo do ujmowania życia w ramy tragedii, powoli zaczyna wyodrębniać z rzeczywistości czynniki, które na zawsze określają jej egzystencję. Poprzez konstrukcję wierszy przebijają kalki z tych twórców, którzy już do końca pozostaną źródłem inspiracji. „Próby negocjacji” emanują buntem, czasem agresją, przeważnie zaś niepokojem i strachem. Bólem. Tym, co w kolejnych tomach, naturalnie, utonie w sztafażu błyskotliwych fraz, prześmiewczych uwag, cytatów, w intertekstualnej chmurze i „ferii kieliszków”. Póki co, przyszła „telefonistka z centrali niezrealizowanych połączeń”

zdobywa się na intymne wyznania: „skomle we mnie suka oddana w dobre ręce, / błędzące właśnie pomiędzy udami. Kochałam / poprzedniego pana zbyt mocno, by jego / nagła zmiana mogła mną nie wstrząsnąć. / ale to normalka”.

W następnych tomach, zwłaszcza fantastycznym „Paradiso”, poetka zaczyna budować inną nieco niż w debiutanckich „Próbach...” wizję rzeczywistości – bardziej paradoksalną, wielowymiarową, wielowarstwową. Pojawia się charakterystyczna dla niej fraza, brzmienie, faktura wiersza. Świadomość złożoności świata i ludzkiego wnętrza, swoistej kompilacji tragedii z burleską, groteską. Świadomość braku wyłączności na dramat. Fabuła układa się w osobistą historię o sprawach, chciałoby się rzec, odwiecznych. „Wyratuj mnie z powodzi tandetnych poruszeń” – prosi mroczna bohaterka tomu, ironiczna i sentymentalna, hamująca czułość szlachetną melancholią.

„Reflektarz”, krótki poradnik dla nieszczęśliwych, posłużyć może za swoiste credo Podgórnika: „oto więc prosta rada, prosta, gdy wierzyłeś / w coś – teraz uznaj śmiertelność swej wiary / i wierze wypraw pogrzeb z mnóstwem alkoholi / a kiedy się obudzisz smutek musi zniknąć [...] jeśli to za mało, jak mnie było mało / oddaj się bez oporu na użytek świata/ bo przeznaczeniem twoim jest smutek bez kresu / i przeznaczony jesteś by rozdać go innym // wydawaj ciało, które jest naczyniem smutku / i które jest bez woli i nie zna zmęczenia / a każdy jego grzech jest emanacją smutku / i słowa tego wiersza podyktował smutek”. Utrzymany w zbliżonym do charakterystycznej poetyki Dyckiego tonie „Reflektarz” sąsiaduje w „Paradiso” z przepelnionym humorem wierszem „debiut w internecie” („niedojebany pisarz ma większą inwencję”) – karkołomne to połączenie przygotowuje czytelnika na językową ekwilibrystykę Podgórnika. Jej kolejne obłąkańcze, a jednocześnie wciąż utrzymane w doskonałym porządku wersy są obrazami poszerzającymi rzeczywistość. Język poetycki Czarnej Marty inkrustowany jest wulgaryzmami, często stanowiącymi integralne elementy fraz o największej sile emocjonalnej. Obrazów pełnych napięcia, drapieźności i – zmęczenia, bezradności, smutku. W tę poezję wkrada się klasycyzm i jest

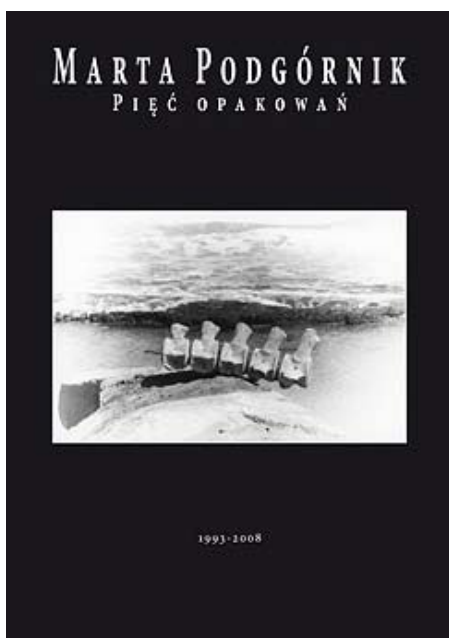
to świadomy zabieg. Bohaterka stroi sobie z niego żarty, bo lepiej niż ktokolwiek inny wie, że jest nieco zgrzytliwy, że to konwencja, w którą w pełen maestrii sposób potrafi się wślizgnąć. Jeden z liryków tytułuje „żenujący klasycyzm” („jak ten sen złoty szczęście sobie poszło w chuj”), nazywa się nową Marią Dąbrowską, jako „świeżo upieczona klasycystka” musi „wyznać z żalem, że świat kręci się wokół chuja // dalej”. Czasem wymyka jej się powściągnięta czułość. Tylko raz, raz jedyny w tym tomie: „jeden czuły wiersz / na całą książkę, jeden naprawdę czuły, jak szept podczas snu”. A potem znów ofensywna, kąsająca ironia: „idź i już nie wracaj. / utrzymam się w tym stanie nietrzeźwej nostalgii / na jeszcze kilka wierszy. nie wracaj, bo rozpieprzysz mi koncepcję książki”. Truizmem chyba będzie stwierdzenie, że te „błyskotliwe frazy” są wyrazem tęsknoty za prawdą, idealistycznego poniekąd pragnienia jasności? Agresja i nieufność – wynikiem rozczarowania światem, bezkompromisowości i wewnętrznego rozbicia? Złośliwość czy cynizm – odpowiedzią na płytkość i głupotę literackiego światka, obrzydliwość codzienności, nudę związków?

Bohaterka Podgórnica, nawet wypluwając z siebie niechęć, stara się zachować nonszalancję. Krztusząc się rzeczywistością, przyjmuje pozę wyrafinowanej intelektualistki lub zblazowanej mieszkanki prowincji. Dziedziczki z Nautillus Island, żonglującej okruchami prawdy i uczuciami niczym bohaterowie sztuki o campowym zabarwieniu. Jest Królową Disco, mającą ochotę na „wielką prowincjonalną katastrofę”. Spotyka Gwiazdora Rocka i od razu projektuje przypuszczalny koniec tej znajomości. Zdaje sobie sprawę z banalności sytuacji – fantastycznie ją sobie ubarwia. Drwi i jest szczęśliwa – ostatni tomik „Gwiazdor Rocka i Królowa Disco” to zestawienie, splątanie monologów dwójki bohaterów, zapisywanych naprzemiennie wierszem oraz w formie poetyckiej prozy. Jest zapisem przebiegu „kilku godzin na szczycie równi pochyłej”. Znana z poprzednich książek bohaterka jest świadoma konsekwencji (to już było: „w pół roku sypiania w kółko z tym samym facetem / zostałam z tyłu jeśli chodzi o rozwój swych intymnych / technik co gorsza zaczęłam roić jakieś / białe domki. // wypadłam z obiegu, omijałam rauty, a teraz, kurwa,

/ nie mam o czym pisać. a młodość już nie taka”), bawi ją przewidywanie przyszłości. „Ckliwy odlot” – podsumowuje, porównując się do miliona dolarów. Wie, że elementy rzeczywistości nie przystają do siebie, ludzie, co gorsza, również. Jest elegancka i chłodna, drwi. Unika pułapek banału. Sprawnie przemierza przestrzeń języka. A jednak „coś mówi” Gwiazdorowi, że nocami płacze. I ciągle ma zawał. „Królowa Krantzu” pije podrobiony koniak, mówiąc: „Ty masz swój festiwal, ja mam swój festiwal [...] / Dziś Ty masz swój festiwal, a ja piję w łóżku. / Napisałam już wszystko, co mogłam napisać [...]. To już się / nie ociera o nic. O cokolwiek. Albowiem tak cholernie chciałoby się otrzeć, że mu odbija / szajba i idzie na tańce. // Jest w stanie ocenić swoje pisanie, i wie, gdzie tkwi błąd. / Wie, co trzeba poprawić, ale nie poprawia”. To jedna ze smutniejszych i piękniejszych konstatacji ostatnich lat.

Ktoś już to wcześniej powiedział. Polska poezja ma na imię Marta.

*Marta Podgórnik,
Pięć opakowań (1993–2008),
Wyd. Biuro Literackie,
Wrocław 2008.*



„To ludzie ludziom zgotowali ten los”

„Fanatyzm jest przekleństwem narodów” – śpiewa wokalista zespołu Hunter. „Polityczny, religijny [...] będą zawsze tym samym – ciemną stroną człowieczeństwa: nic nie tłumaczy morderstwa”. Podobnie jak nic nie tłumaczy znęcania się nad ludźmi, poniżania ich i ograniczania ich wolności bez wyroku skazującego. Niestety, mimo wszelkich deklaracji, w tym tych najważniejszych – „firmowanych” przez ONZ, zapewniających każdemu człowiekowi prawo do godnego traktowania, nawet wtedy, gdy podlega on karze więzienia, nadal istnieje wiele miejsc, w których czas się zatrzymał w miejscu, a ustalenia demokratycznego społeczeństwa są notorycznie łamane. Największy paradoks polega jednak na tym, że bardzo często do owego łamania prawa dochodzi w sytuacjach, w których teoretycznie chodzi o to, by zasad demokracji bronić. I o tym właśnie opowiada w książce, napisanej przy współpracy Helmuta Kuhna, Murat Kurnaz.

„Guantanamo. Pięć lat z mojego życia” to historia samego Kurnaza – młodego Niemca tureckiego pochodzenia, który został zatrzymany w Pakistanie za rzekomą działalność terrorystyczną. Wydany Amerykanom za trzy tysiące dolarów, trafił do więzienia. Początkowo był przetrzymywany w Kandaharze, następnie trafił na Kubę.

„Guantanamo. Pięć lat z mojego życia”, to nie tylko wspomnienie dni, jakie młody bremeńczyk spędził więziony przez Amerykanów, którzy oskarżali go o współpracę z talibami, ale również, a może – przede wszystkim – wstrząsająca relacja z miejsca zbrodni. Bo jak inaczej nazwać tortury, nieludzkie warunki, upokorzenia, bezczeszczenie tego, co dla innych jest świętością?

Wiele osób (w tym politycy najwyższej rangi) zaangażowanych jest w spór dotyczący tego, czy Murat Kurnaz był niewinny i niesłusznie skazany na pozbawienie wolności. On sam twierdzi, że jego

podróż do Pakistanu wkrótce po zamachach z 11 września, była przypadkowa i podyktowana jedynie zamiarem zgłębienia wiary przodków. Dla mnie jest to nieistotne. Niezależnie bowiem od tego, czy zasłużył sobie na karę więzienia, niezależnie od tego, że istnieją pewne nieścisłości w jego relacji, nikt nie ma prawa stosować wobec drugiego człowieka przemocy. Nikt nie ma prawa nikogo poniżyć i upokarzać. Nikt w końcu nie ma prawa tego czynić pod hasłem niesienia światu demokracji i wprowadzania pokoju. Przecież właśnie ta osławiona demokracja gwarantuje nienaruszalność osobistą, prawo do sprawiedliwego i niezawisłego sądu, prawo do godnych warunków życia.

To, co szczególnie porusza w relacji Kurnaza, to jednak nie opis tortur, warunków, w jakich mieszkał, ale bezsilność człowieka. Człowieka, który właściwie nawet nie wie, za co jest przetrzymywany (a przynajmniej tak utrzymuje). Mniej mnie poruszyły opisy mówiące o wieszaniu więźniów za nadgarstki niż historia współwięźnia Murata, któremu zbeszczeszczono Koran, a który musiał wybrać pomiędzy bezczynnością a agresją w stosunku do strażnika. Jego wierność religii była tak wielka, że zaryzykował własnym życiem, by „pomścić” księgę, którą uznawał za świętą. To, co niezrozumiałe dla ludzi wychowanych w innych warunkach, w innej kulturze, w innej wierze, nabiera nowego znaczenia po lekturze książki Kurnaza. Kiedy sobie uświadomiamy, że ludzie są gotowi zginąć za księgę, za przedmiot, to inaczej zaczynamy postrzegać ich gotowość do poświęcania życia w „świętej wojnie”. Nawet jeśli nadal wydaje nam się to absurdalne, to jednak nabiera nowego znaczenia.

Dlaczego Kurnaz spędził w Guantanamo kilka lat? Dlaczego skoro był niewinny, tak długo narażony był na tortury i poniżenia? Sam zainteresowany (opierając się na oświadczeniach amerykańskiego rządu), twierdzi, że jest to wynik negatywnego stanowiska władz niemieckich, które nie zezwoliły na powrót mężczyzny do kraju. Uznano go za „stwarzającego zagrożenie”. W ten sposób wydano na niego wyrok, nie znajdując w nim winy. Tragiczne to i poruszające. A jednocześnie niezwykle – jeden człowiek, zwykły, przeciętny człowiek, był przedmiotem dyskusji głów najważniejszych państw.

Narracja Kurnaza nie jest szczególnie porywająca pod względem barwności języka. Można nawet pokusić się o stwierdzenie, że jest wręcz beznamiętna. Mężczyzna nie sili się ani na wyszukane epitety, ani na celne metafory czy porównania. Ta książka jest dokumentem. Szczerym do bólu, choć jednocześnie niezwykle oszczędnym. To świadectwo człowieka, który przeżył to, czego przeżyć nie powinien. I to z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że to nieetyczne, a po drugie – jeśli wierzyć jego słowom, wielu nie wytrzymało tych tortur, które im zadawano w celu wymuszenia zeznań.

Opowieść Murata to nie tylko historia jednego człowieka. To również świadectwo wystawione naszym czasom, współczesnemu systemowi wartości i zasadom, których przestrzeganie okazuje się być względne. Sam Kurnaz stwierdza: „Wiem już, co ludzie potrafią uczynić innym. Co mówią politycy, a jak postępują”. Nowego znaczenia nabierają, tak znane przecież nam słowa: „To ludzie ludziom zgotowali ten los”.

W kontekście tego, co obecnie wiemy o Guantanamo i w obliczu ciągle ujawnianych skandali z udziałem wojska, książka Kurnaza nie jest może nowatorska czy zaskakująca. Nie należy też chyba do tych, które na zawsze zapadają w pamięć. Co nie oznacza, że nie zasługuje na uwagę. Bo zasługuje. Tylko czy na pewno zainteresuje tych, którzy święcie wierzą w niezawodność demokracji i w niej pokładają nadzieję na „zbawienie” wszystkich narodów? Nie sądzę. Oni zarzucą historii Kurnaza nieścisłości, stwierdzą, że mężczyzna nie jest przekonujący. I być może będą mieli trochę racji. Ale czy racji nie będą mieli także ci, którzy uznają amerykańskie metody za bestialskie i nieetyczne?



*Murat Kurnaz, Helmut Kuhn,
Guantanamo.*

*Pięć lat z mojego życia,
przeł. Agnieszka Gadzała,
Wyd. W.A.B.,
Warszawa 2008.*

Papież, foliowe torby i ketchup

Tytuł książki Mariusza Czubaja „21:37” kojarzyć można z ważnym wydarzeniem, jakim była śmierć Papieża Polaka Jana Pawła II. Bohaterem powieści nie jest jednak, co oczywiste, Karol Wojtyła. Fabuła powiązana jest z instytucją kościoła, a wspomniana data pojawia się w dość zaskakujących okolicznościach – śmierci dwóch młodych kleryków. Obserwujemy więc akcję z perspektywy kata i ofiary. Czujemy razem z tą ostatnią, jak cierpi, widzimy, jak walczy o życie. W tak zwanym międzyczasie towarzyszymy policji w rozwiązywaniu spraw dotyczących różnych przestępstw, najczęściej związanych z morderstwem.

Trudna tematyka podana jest w lekki, przystępny, momentami ironiczny sposób. Mariusz Czubaj posługuje się bogatym, obrazowym językiem. Szczegółowe informacje nie przytłaczają. Dają klarowne spojrzenie na sprawę. Autor komunikuje się z czytelnikiem z precyzją i wyczuciem, zaskakuje błyskotliwymi przemyśleniami i wnioskami. Odnosi się często do ważnych wydarzeń dla Polski m.in. wspomina o wyborze Polski i Ukrainy na organizatorów EURO 2012.

Głównym bohaterem jest profiler Rudolf Heinz. Mężczyzna z krwi i kości. Nie jest on ani przystojny, ani nadzwyczaj uprzejmy, co zresztą wynika z jego doświadczeń i pracy, którą wykonuje. Wie, że ma dane zadanie do zrealizowania i stara się je przeprowadzić profesjonalnie. Ma świadomość, że od jego poczynań zależy czyjeś życie. Zajmuje się określaniem, na ile dany człowiek jest skłonny do popełnienia określonego czynu, specjalistycznym opracowywaniem portretu psychologicznego przestępcy. Prywatnie stara się nawiązać kontakt z synem, naprawić błędy z przeszłości we wspólnych relacjach. Cechy, które autor nadał temu bohaterowi, sprawiają, że czuje się do Rudolfa Heinza trudną do opisaną sympatię. Można by powiedzieć, że jest zupełnie normalną osobą, w tym nienormalnym

środowisku, w którym funkcjonuje i pracuje. Popołnia błędy jak każdy, ale w pracy stara się postępować, jak prawdziwy specjalista. Przez swoje wady staje się bliższy czytelnikowi. Nie jest to typowy bohater, jakiego można spotkać w literaturze kryminalnej. Wydaje się być bardziej ludzki niż jego współpracownicy. Razem z Heinzem zagłębiają się w mroczny kryminalny świat, gdzie nie ma przebaczenia ani litości. Najlepiej świadczy o tym scena, gdzie oprawca odcina powoli powietrze ofierze. Później daje jej nadzieję poprzez możliwości zaczerpnięcia jednego oddechu. Sadysta przygląda się z satysfakcją, jak powoli ofiara dusi się, jak cierpi. Ten fragment szczególnie zapada w pamięć, pokazuje kruchość życia i bezwzględność mordercy – to, jaką czerpie on z tego przyjemność. I nie ma wytłumaczenia, że człowiek staje się zły w ciągu swojego życia. Człowiek rodzi się zły, a nienawiść, którą pielęgnuje, w końcu musi dać o sobie znak. Jak nie dzisiaj, za tydzień, to za rok, ale prędzej czy później pojawi się w niekontrolowanej agresji. Nikt nie wie, kiedy przyjdzie na niego pora. Każdy może stać się ofiarą, którą wybierze sobie morderca. Tak było w przypadku kobiety, która pojawiła się w nieodpowiednim czasie w parku. Psychopata czekał na swoją narzeczoną, której śmierć zaplanował bezwzględnie, co do szczegółu. Gdy ona się nie zjawia, atakuje ją, na której mógł wyładować swoją agresję, która mogła dać mu chwilowe zaspokojenie żądzy mordy. Zagrożenie czai się więc na każdym kroku.

Książka może wydać się kontrowersyjna za sprawą tematyki, którą porusza. Ciemne sprawy biznesmenów, grzeszność kleryków, ściśle przestrzegana klauzula milczenia. Kościół, który chroni swoje tajemnice przed światem w szczelnym inkubatorze, którym jest seminarium duchowne. Autor piętnuje to środowisko. Dodatkowe kontrowersje budzi fakt, iż dwóch seminarzystów, którzy zginęli, było gejami.

Mariusz Czubaj skutecznie tworzy atmosferę wszechobecnego układu. Buduje napięcie, pobudza ciekawość. Poznajemy kulisy pracy policji, która nie zawsze postępuje etycznie, a często jest zachowawcza. Przyglądając się temu środowisku, można wywnioskować, co zresztą jest oczywiste,

że nie jest to praca dla osób „wrażliwych”, czego przykładem jest Dziewica – młody adept policji opisany w powieści.

Autor rzuca wyzwanie czytelnikowi – można pokusić się o stwierdzenie, że namawia go, by zagłębił się w psychikę mordercy, podobnie jak robi to Heinz. Książki tej nie można bowiem nazwać „krwawą”, Mariusz Czubaj skupia się głównie na portrecie psychologicznym bohaterów. Tak więc, chcąc dowiedzieć się, co mają wspólnego papież, foliowe torby i ketchup koniecznie trzeba sięgnąć po tę powieść. Polecam!

*Mariusz Czubaj,
21:37,
Wyd. W.A.B.,
Warszawa 2008.*



List otwarty na marginesie „Przewlekłej nieistotności” M. Tabaczyńskiego

Podczas lektury szkicu p. Michała Tabaczyńskiego „Przewlekła nieistotność” [„Portret” 2007, nr 2] zrodził się we mnie, już w trakcie, długi monolog wewnętrzny, o tonacji nienapastliwej, acz zrzędlivej i ogólnie dość niepokojącej. Chylę głowę przed elokwencją, kulturą języka oraz umiejętnością subtelnego przedstawiania swojej argumentacji Autora. Rzadkie dziś bardzo – połączenie czystości polszczyzny, spójności toku wywodu oraz spokoju i ładu w tonacji. Ja stanowię jedynie cząstkę „Pokolenia lat 70-tych” (ta nomenklatura – tylko gwoli wyjaśnienia mojego statusu egzystencjalnego). Nie jestem bynajmniej ani kawałkiem nawet członka szacownego gremium jakiegokolwiek zarejestrowanego albo choć zdeklarowanego zgromadzenia krytyków czy znawców literatury. Jestem „tylko” zwyczajnym czytelnikiem, fragmentem zasobów ludzkich w wieku produkcyjnym, świadomym i dobrowolnym użytkownikiem kultury. Jednym z wielu.

Biblioteka to moja codzienność, stąd też przed moimi oczami przewinęły się tytuły setek artykułów z XX wieku – z każdego dziesięciolecia – o jednakowym motywie głównym: „Jak bardzo upadła nasza literatura i dlaczego tak się stało?! Dlaczego wy, pisarze, jesteście tak beznadziejni, a wy, współczytelnicy, tak niewybredni? Tylko Ja Widzę...”. Co śmieszne, podobne tytuły, motywy i tonacje świetnie pamiętam z historii literatury polskiej oraz europejskich! Wszystkim też można by nadać podtytuł „Przewlekła nieistotność” > – połączenie czystości polszczyzny, spójności toku wywodu oraz spokoju i ładu w tonacji. Wszystkie są aktualne, żaden nie jest pamiętany. A kolejne wytwory literackie (krytycy zabraniają nadawać wielu

zacytowanym pozycjom zaszczytnego tytułu „dzieło”) zapisują się systematycznie na globalnym spisie Niezapomniane dla Literatury...

Dlaczegoż, na Jowisza (ach, proszę mi wybaczyć tę nieprofesjonalną emocjonalność), ciągle jeszcze powołujemy się na stały i do bólu znany zestaw polskich wieszczów-upiórów kolejnych pokoleń?! Mickiewicz-Norwid-Chopin... Nie umniejszając ani części zasługi tych twórców w dorobku kulturalnym Europy, trochę to przypomina stanowcze tezy klerków średniowiecznych, iż poza biblijnym przekazem kanonicznym nie ma będzie nic lepszego, słusznego i godnego szacunku, uwagi czy zajęcia. Co więcej, zajmowanie się w takim razie owymi błahostkami jest czynnością, jeśli nie grzeszną, to choćby zbędną i uwłaczającą inteligencji. Doprawdy, pisarzy i poetów na miarę Mickiewicza (ówcześnie, oczywiście, ówcznie, podkreślam) mamy dziś (podkreślam – dziś) wielu. Przywoływanie podobnych przykładów („za Romantyków – to, hoho, mieliśmy literaturę! A teraz? Dno, po prostu popłuczyny!”) na poparcie wywodów literaturoznawczych tchnie anachronicznością. Gdyby ktoś wtrącił, iż wręcz przeciwnie – to poparcie tezy, że dziś nie ma się na kogo powołać – rzeczowo polemizowałabym.

Wszelkiego typu pesymistyczne czy groźne upomnienia dotyczące katastrofalnego stanu kultury/literatury polskiej przypominają mi trochę (tylko trochę – pod względem formalnym) miliony stron, które musieliśmy – my, studenci polonistyki czytać na kolejne zajęcia: gdzie Sławne Nazwiska krytyków literackich i literaturoznawców diagnozowało punkt po punkcie stan współczesnej literatury. My, studenci, czytaliśmy to wszystko z ołówkami w rękach, językami na brodach i obłędem w oczach (proszę o wybaczenie za tak obrazowe przedstawienie sytuacji – można to podpiąć pod chłopską metaforę dosłowności). Byliśmy jednostkami może nie wybitnymi, ale przynajmniej o pewnym już stopniu wykształcenia, doświadczenia życiowego, a co za tym idzie – intelektu. Właśnie my, z tych wywodów o metajęzykach, zaawansowaniu wkorzenia współczesnej literatury w egzystencję, oraz korelację między bytem „teraz” a metabytem „kiedyś” nie tylko nic ani w ząb nie rozumieliśmy, a co gorsza

– wydawało nam się to kompletnie zbędne! To było anachroniczne, to było niepotrzebne, to było żałosne. Chcieliśmy chłonąć samą literaturę jako taką – i dawną, i współczesną w końcu – i chcieliśmy tworzyć własną: tyle słów się w nas przelewało, literatura wprost w nas bulgotała! A to, co nam zaoferowano, to gromada kościotrupów literackich (czyli rozebrane pod kątem formalnym i stylistycznym utwory – jakby jakaś chora anatomia istniejąca tylko dla samej siebie, a nie uprawianej czynnie medycyny!) oraz lamentacje krytyków. Lamentacje niesprawiedliwe, krzywdzące, wręcz kłamliwe. Momentami żałosne. Nieskazitelne pod względem formy, godne podziwu pod kątem swoistości i nieprzemakalności na rzeczywistość języka, żałosne, gdyż stanowiły jedynie dowód na nienadążanie krytyków za współczesnością. Za czasem. Za rozwojem słowa i dzisiejszych jego konstruktów. Dowodziły też wewnętrznej sentymentalnej nostalgii literaturoznawców za tym, co oswojone, co możliwe bez wysiłku do ogarnięcia i reprodukowania. Motto: „Znacie? – Znamy! – To posłuchajcie!”. O epigoni, płaczący za tym, co „dawne”, „oswojone”, „znane”. Wasze zarzuty są smutne i budzące śmiech jednocześnie – to nie współczesna literatura (polska czy nie – literaturoznawcy wszystkich narodów lamentują na ten sam temat) ma problem z głębią, ale wasz wzrok krytyczno-literacki! Czy naprawdę nie widzicie, że jedynym problemem, jaki draży kulturę/literaturę XX-XXI wieku to nadmiar?

W szkicu Michała Tabaczyńskiego pojawiła się też interesująca teza: konieczność powrotu do dawnej, sprawdzonej polskiej kultury chłopskiej. I tutaj jako przykład padł tytuł „Bombel” Mirosława Nahacza – czyli łabędzi śpiew owej współczesnej polskiej kultury/literatury. Współczesny człowiek, jeden z wielu trybików zasobów ludzkich w wieku produkcyjnym (a wszak dla takich powstaje literatura/kultura, nieprawdaż? Ewentualnie takich chce ona odprzymięć i uskrzydlić), nie chce dosłownego powrotu do korzeni, czyli wiecznego wspomnienia guseł kulturowych, anachronizmów językowych i pielęgnowania narodowych fobii. Zachwyty nad twórczością Nikifora może być traktowany poważnie jedynie przy nieustannej pamięci o poziomie oraz kondycji egzystencjalnej

jednostki tworzącej. Dzieła wymienionego twórcy i jemu podobnych rzeczywiście stanowiły Absolut, ale obiektywnie patrząc – absolut Nikifora, i tylko i wyłącznie jego. Pozbądźmy się marnych sentymentów i powiedzmy prawdę: literatura polska istnieje i ma się nieźle. Jest na stałym dobrym poziomie innych literatur europejskich. Kultura Stanów Zjednoczonych to inna rzeczywistość, nie możemy się do niej porównywać.

Ostatni argument Głosu z Zewnątrz: „Jeśli z literaturą polską jest tak wyśmieniecie, jak twierdzisz, dlaczego nie wymieniłaś ani jednego nazwiska ku pokrzepieniu serc?”. Mogłabym to robić, ale posłużę się tu znakomitym wzorem tych, którzy krytykując, również nie wymieniają konkretnych, „miałkich” i „przewlekłe nieistotnych”, a kierują swe zarzuty do tak wygodnego Adresata Zbiorowego... Dlaczego, na przykład, wypieramy się autorów tzw. literatury popularnej? Nie ukrywajmy, w swoich czasach, przywołany wcześniej Mickiewicz i Spółka ze swoimi „Balladami...” (a Sienkiewicz?!) był twórcą literatury Bardzo Popularnej, zanim stał się ikoną stylu oraz, o bólu!, wieszczem narodu. Dzisiaj również mamy swoich wieszczów: świetnych prozaików i wrażliwych poetów, tylko „nikt nie jest prorokiem we własnym kraju”, a „najlepiej to nam było przed wojną”.

Tekst Michała Tabaczyńskiego, z którym polemizuje Autorka, ukazał się w 27 numerze „Portretu” [wydanie papierowe].

Anna Nowak

Co ty wiesz o moim bólu, a co ja o twoim?

W ciemności rytmiczne uderzanie kijem o blaszany bęben, zapala się reflektor, który oświetla mężczyznę w stroju księdza, wykrzykującego, że ludzie powinni poświęcić swoje szczęście dla Boga. Włącza się drugi strumień światła i widzimy młodą kobietę opowiadającą w bólach, przez zaciśnięte gardło o tym, jak gwałcili ją żołnierze. Taki był efektowny początek spektaklu „Un esempio”, przedstawienia, które najsilniej odczułam spośród wszystkich zaprezentowanych na tegorocznej Klamrze. Pierwsze moje wrażenia nie były pozytywne i spodziewałam się kolejnych ataków konwulsji, rzucania hasłami w stylu Radia Maryja i nic nieznaczącego patosu. Jednak w trakcie oglądania zaczęła docierać do mnie niebywałą tajemnica, jaką skrywa ten pełen brutalności spektakl, który zmusza do refleksji nad tym, czym jest humanizm w świecie zwalczających się ras.

Bardzo sprawnie poprowadzona adaptacja opowiadania Grudzińskiego pt. „Błogosławiona święta” posłużyła do stworzenia spójnego i trzymającego w napięciu przedstawienia o sensie cierpienia, poszukiwaniu wytłumaczenia ludzkiego bólu. Ze zderzenia wypowiedzi dwojga skontrastowanych postaci: piętnastoletniej Marianny (ofiary gwałtów, która postanawia urodzić dziecko któregoś z oprawców) oraz dojrzałego księdza, doszukującego się świętości w postawie dziewczyny, powstaje dramat o tym, że nie ma jasnych granic między dobrem, a złem.

Mimo wyrazistych znaków i treści oddziałujących na intelekt, ten spektakl bardziej odczułam, niż rozumiałam. Tym bardziej jest to zdumiewające, że mając świadomość tego, w jaki sposób twórcy budują komunikaty sceniczne, mogłam przez moment poczuć się jak ktoś, kto dopiero rozpoczyna przygodę z teatrem i potrafi bezkrytycznie i z naiwnością dziecka uczestniczyć w zdarzeniu teatralnym.

Podoba mi się również, że artyści Teatru

Niebopiektło potrafią z niewielu rekwizytów (bębna, skórzanego paska i chusty) zbudować wymowne symbole, powiedzieć coś widzowi bez wykorzystywania skomplikowanej (i dostępnych głównie na scenach zawodowych) maszynerii teatralnej. Pasek służy tu więc i do zobrazowania gwałtów, i do pokazania pokuty za grzechy, chusta jest nakryciem głowy Matki Boskiej, dzieckiem, ale także znakiem śmierci. A najważniejsze, że aktorzy, mimo operowania teatralną umownością, pozostają w tym wykreowanym świecie bardzo naturalni, autentyczni w swych wyznaniach. Życzyłabym sobie takich spektakli więcej, zwłaszcza na spotkaniach teatrów alternatywnych, bo istotne wydaje mi się w tej odmianie widowiska zwłaszcza, poszukiwanie dialogu międzyludzkiego, docieranie do elementarnych odczuć i dzielenie się nimi z widzem. A twórcy spektaklu „Un Esempio” mają coś ważnego do powiedzenia, stają przed nami i każą patrzeć na drugiego człowieka jak na trudny do rozwiązania algorytm, istotę mogącą zaakceptować to, co dla ogółu może się wydawać ciężarem. „Co ty wiesz o moim bólu, a co ja o twoim?” mówi Marianna (Ewa Stołowska) i nabieramy pokory wobec oceniania czyjegoś cierpienia, jednoznacznego określania, co jest etyczne, a co nie.

I można by zarzucić twórcom, że temat przerósł ich umiejętności warsztatowe. Nie da się wprawdzie ukryć, że Ewa Stołowska nie dorównuje poziomowi gry aktorskiej Andrzeja Stróża. Jednak w trakcie oglądania ta niedoskonałość przestała mi przeszkadzać. Mogłabym nawet powiedzieć, że na plan pierwszy wysunęły się już nie tyle techniczne kwestie, co sens wypowiedzi. Sądzę, że ogromnym atutem tego przedstawienia jest to, że dociera do widza coś więcej niż wzruszenie etetyczne. A zdarzyło mi się przeżyć coś niezwykłego oglądając ten spektakl. Nie nazwę tego najważniejszym doświadczeniem teatralnym w życiu, ale śmiało mogę przyznać się, że dawno nie docierały do mnie tak mocno słowa i gesty wypowiedane ze sceny. Czułam się wręcz bezbronna wobec tego, co dzieje się kilka metrów ode mnie. Niby nic nowego, środki wyciągnięte z bagażu doświadczeń scen alternatywnych, jaskrawe przeciwieństwa, a jednak obrazy mocno zapadają w pamięci. Gaśną dwa

strumienie światła, cichnie bęben, aktorzy schodzą ze sceny, a spektakl wciąż jeszcze się odbywa – w widzach...

Un esempio, Teatr Niebopiekło, reżyseria:
Teatr Niebopiekło, scenariusz: Andrzej Stróż i
Ewa Stołowska, występują: Andrzej Stróż, Ewa
Stołowska, premiera: 13.06.2007 Poznań.

Recenzja „Co ty wiesz o moim bólu, a co ja o
twoim” została wyróżniona podczas wojewódzkiego
konkursu na recenzję teatralną, organizowana w
ramach KATAR-u teatralnego przez Wojewódzki
Ośrodek Animacji Kultury w Toruniu.

Anna Nowak – ur. w 1984 r., absolwentka
filologii polskiej UMK; studentka Reżyserii Teatru
Dzieci i Młodzieży w PWST we Wrocławiu;
założycielka i reżyser Teatru Wróbli; laureatka
konkursów dziennikarskich i recytatorskich;
animatorka kultury.